

Szarość i jej zaprzeczenie

(Dokończenie ze strony 9)

metaforach związanych z „samotnością piasku”. To rzeczywiście szczęście, gdy dwa ziarenka przyłgną do siebie i wypełni je poczucie jedni (jedności ze sobą i światem), najczęściej jednak tylko ocierają się o siebie, nie mogąc wyzwolić się z poczucia, że tak naprawdę są obok siebie, a nie ze sobą, gdyż na przeszkodzie idealnie harmonijnego połączenia stoi impuls przyrodzonego egoizmu i fatum pojedynczej samotności.

I kiedy zachęcony sięgnąłem po wcześniejsze tomy Wojciecha Łęckiego, odnalazłem ten znajomy ton rozterki i polemiki, żarliwej dyskusji ze światem i gorzkiej kontestacji jego porządków. Rzecz jasna, że w tej poezji dominuje intencja liryczna, jednakowoż Łęcki jest lirykiem, który odważa się swoją podmiotowość, swoją liryczność narażać na konfrontację ze światem historycznym i społeczno-politycznym. Nie pozostaje li tylko w pięknym ogrodzie o wymuskanych ścieżkach, by opiewać słowika na kruchej gałęzi. Jego wycieczki w stronę publicystycznej dosłowności w naturalny sposób wchodzi w relacje z czymś intymnym i głęboko osobistym. Rdzeniem tej poetyckiej retoryki jest obserwowany z bólem, a niekiedy już z szyderstwem, rozdział między projektem a realizacją, między zamiarami a wykonaniem, między ideą a rzeczą. To, co projektowano jako idealne (bo miało być tak pięknie, bo miało być tak dobrze) zderza się ze swoją rzeczywistością, daleką od zakładanej doskonałości, kopia. Marzenie zderza się z jego spełnieniem. Tę obserwację potwierdzają niektóre utwory ze zbioru „Drzewa szare od marzeń”, gdzie degradację marzenia sygnalizuje się w oksymoronicznie brzmiącym tytule książki.

Zaczyna się tu od dekonstrukcji mitów narodowych i patriotycznych, które wobec „powszechnej szarości” zdają się blednąć, a chwilami po prostu sięgać bruku. Społeczna gorzkość związana z traumą stanu wojennego znalazła w tych wierszach odbicie aż nadto wyraźne. Mowa jest o „rozdrapanym kraju”, o tym, że „hymn rozpiszą na same cymbały”, mowa jest o zdradzie, o patriotyzmie zakłamanym, odwróconym do góry nogami. Zwieńczeniem tego nurtu rozważań staje się interesująca metafora horyzontu podobnego do medalika, który oni „gotowi powiesić na szyi narodu”. Z tą osobistą opowieścią o doznanej narodowej zniewadze sąsiaduje opowieść o zniewadze niemal osobistej – to próba zwrócenia honoru własnemu ojcu, żołnierzowi, o którym zapomniała Polska i zapomniał Bóg.

W pierwszym tomiku Łęcki kłóćąc się z wszechobecną, zapierającą dech szarością, w paradoksalny sposób staje po jej stronie. Nie widząc szans ratunku przed nią, zaczyna penetrować jej zakątki i zakamarki, by odkryć

coś ludzkiego i ciepłego. – Wszyscyśmy zato-
pieni w szarości – powiada bohater – ale to
tylko powłoka, pod którą biją ludzkie serca i
opowiadają się prawdziwe historie. I najcie-
kawsze w tym zbiorze jest to, jak bohater do
tych serc i historii zaczyna się dobierać. Być
może miasto jako wylęgarnia nijakości i szaro-
ści, jako nieludzka, zdegradowana prze-
strzeń nie jest jego, może czuje się w nim źle
i obco; jednakże miasto jako panoptikum
osobowości porusza jego wyobraźnię i roz-
budza wrażliwość na to, co wyjątkowe, na to,
co inne, osamotnione, opuszczone i wydzie-
dliczone. I paradoks zapętla się dalej, gdy
dochodzimy do wniosku, że nie po stronie
szarości stoi bohater, lecz po stronie jej za-
skakujących, barwnych zaprzeczeń, po stro-
nie tego, co przez tę szarość jest zjadane, uty-
lizowane i homogenizowane. Jest po stronie
pojedynczych przypadków i indywidualnych
losów. I właśnie wtedy, gdy ucieka od uogól-
nień w stronę jakiegokolwiek poszczególności,
gdy przypatruje jej się z wytężoną uwagą,
jest najbardziej autentyczny i wiarygodny.
Wtedy powstają poruszające wiersze. Takie
jak „Starzec”.

Starzec

*osiemdziesiątkę zebrał
co do klasa
listonosza przyjmuje
w ubraniu kupionym na śmierć*

*słowa ściubi jak rentę
żeby starczyło na ostatnią spowiedź
chleb krzyżem zęga
przed natrętymi grzesznikami*

*zwaśniony z księdzem
bogu w ofierze
składa wieczorem
obie morgi dłoni*

*tylko heli żarneckiej
jeszcze nie wybaczył
kosza
przed pięćdziesięciu lat*

Czymś analogicznym jest pewien utwór z tomiku wydanego w 1989 roku pod tytułem „W zakosach wiatru”. Chodzi mi o „Polną gruszę” będącą przykładem zatrzymania się nad obrazem, chwilą, szczegółem. Łęcki jako poeta wyrывa się w stronę rozsianych drobiazgów, które nie mieszczą się, nie chcą mieścić się w kategorii, typie, schemacie. Między innymi także i w tym przejawia się jego przekora, jego twórcza wolność, ów polemiczny ton. Liryczne pyskówki dotyczą zwyczaj porządków świata, który narzuca banał i konwencje do tego stopnia, że już sami nie wiemy, czy i jak jesteśmy autentyczni. Bohater tych wierszy chce być autentyczny i wie, że staje się nim wówczas, gdy na chwilę zamiera bądź ucieka od obyczajów szarości, od rytuałów codzienności. Medytacja nad – wydawałoby się – nędzną polną gruszą staje się strzelistym aktem wiary w prawdę i siłę tego, co wyrzucone poza nawias ważności i powagi, poza ramy namysłu

i dyskursu snuje w wyobraźni poety własną opowieść. Tu w najlepszych wierszach od drobiazgów zaczyna się budowanie świata na nowo, zaczyna się tworzenie wiarygodności. Tym drobiazgiem raz bywa porzucony przez Boga i ludzi starzec, innym zaś razem przypadek tej, którą „za wierność korzeniom wypędzono z sadu”.

W interesującym mnie nurcie mieści się również „Głupia Jagna” z tomiku następnego (rok 1990, „Kwiaty ostu, kwiaty jabłoni”), określająca – moim zdaniem – jak na dłoni charakter tej liryczności, która tak naprawdę spełnia się w pisaniu o innych. Nie wiem, ile z wrażliwości autora przenika w opisywane postaci i zjawiska, ale nie jest nam ta wiedza potrzebna, by zrozumieć, że mamy do czynienia z liryką oddaną światu, wymierzającą mu sprawiedliwość, liryką w niektórych przypadkach wręcz interwencyjną. O wszystko można pomówić poetę, tylko nie o egotyzm. Przyznaję, że jest to rys, w moim mniemaniu, szlachetny. Podziwiam twórców, którzy umieją porzucić przekonanie, że liryka to prosta konfesja, synonim bebeczliwości. Liryka kryje się w zakamarkach świata, po lirykę schodzi się w głąb między ludzi. Liryka jest w upływającym czasie, w historii. Łęcki tam ją właśnie odnajduje. I gdyby się mogło wydawać, że nie ma bardziej prozaicznego żywota, jak los jakiejś przygłupiej kobieciny z zadupia, to właśnie pod jego piórem staje się mały cud i rewolucja jednocześnie – ten życiorys ulotny, ten mizerny los nabiera wielkości, doświadcza patosu i wyniesienia, stając się nagle czymś godnym namysłu i wzruszenia. Ten wiersz porusza mnie szczególnie, gdyż ograniczono tu odautorskie komentarze do minimum, jest surowy i prawie dokumentalny, złożony z samych faktów. Oczywiście, że sztuka literacka polega na tym właśnie złożeniu, na tym świadomym układzie. Ważne jest zwieńczenie układu, ważna jest pointa. Tu jest tak dobrze wyobrażona i przeczuta, że nie pozwala o sobie zapomnieć:

*lubiła letni skwar zapach wiatru szum lasu
kochała się
dwa razy umarła na łące zdążyła wbić grabie
w kopkę siana jego zapach każdego lata
stoi teraz w Lipinach jej pomnik*

Nie pozwala o sobie zapomnieć celna metafora losu uzmysławiająca to, jak szybko znikamy (i jak nieważni!), jak szybko kruszy się pamięć o nas. Poezja jednak ocala, mówi tym wierszem Łęcki – jest właśnie po to, by stworzyć w piśmie ostoje pamięci, by ustawić pomniki trwalsze niż woń siana latem nad wioską.

Wydawać by się mogło, że tę bogatą w wątki i pomysły twórczość zawężam i spłyacam. Ale ja tylko subiektywizuję odbiór, dokonując wyboru, wskazując na to, co mnie rzeczywiście dotyczy i dotyka. I jest tu jeszcze jedna rzecz bardzo mi bliska. Ona również wiąże się z tym, co podkreślałem do tej pory. Poeta oddając sprawiedliwość marginesom (ukrytym na manowcach powszechnej szarzyzny), rzeczom, osobom, zjawiskom